

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie **8** koron, półrocznie **4** korony, kwartalnie **2** korony.

Redaktor kierujący: **KAZ. EHRENBERG.** Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: **WITOLD NOSKOWSKI.**

Nr. 2. Kraków, dnia 13. stycznia. 1901.

NA CZASIE.

(Porachunki tygodniowe).

......Wiedz zatem mój kochany, że taka instytucya ma bardzo poważne znaczenie społeczne. Umoralnianie warstw pracujących, podawanie im godziwej rozrywki za przystępną cenę, to rzecz nie mała. Ileż to godzin strawionych dotąd przy stole szynkownianym lub karcianym, zostanie obrócone na wsłuchiwanie się w urocze dźwięki poezyi? Do wielu serc maluczkich przemówi ze sceny mowa ojczysta, budząc w nich uczucia, które zahartują może te serca na niecne podszepty? Pomyśl, ile zdrowych ziarn naskładanych przez mistrzów słowa, padnie z tamtąd na podatną może glebę?

Mojemu przyjacielowi zdawało się to trafiać do przekonania, więc z podwójnym zapałem ciągnąłem dalej:

— Mówią, że nasze społeczeństwo jest niesłychanie apatyczne, że różane więzy austryackiej wolności dokonywują łacniej strasznego dzieła zlojalizowania, niż łańcuch moskiewski. Zarzucają nam wreszczie, że przeciw jeszcze innej, społecznej zgniliznie nie możemy znaleźć żadnych skutecznych antyseptyków, że sami narodowo obojętni, nie dbając o los młodszych braci, oddajemy ich z pełną samowiedzą pod nóż wynarodowienie. Ja wiem, że teatr ludowy nie jest paliatywą na rany społeczne, które tylko czas, dobra wola i pełne miłości pielęgnowanie zdołałyby zabliźnić, wiem o tem dobrze, a jednak musisz mi przyznać, że najłatwiej uczy się przez zabawę. *Tamci* przemawiają do fantazyi, nie do rozumu tłumów, ukazują im nieziszczalne, kłamliwe miraże wszechpomyślności — dlaczegóż byśmy nie mieli pójść za ich przykładem, dlaczegobyśmy nie mieli niezdrowym, gorączkowym płodom wyobraźni fałszywych proroków przeciwstawić obrazy, powstałe w szczytnym duchu naszych mistrzów słowa?

Czy nie zgodzisz się ze mną na to, że jedno

Zatonięcie niemieckiego statku „Gneisenau“.



Niemieccy marynarze wdrapawszy się na reje, oczekują ratunku.

przedstawienie Jasełek więcej oddziała na wyobraźnię murarza, stolarza lub woziwody, niż dziesięć najpiękniejszych i najbardziej obywatelskim duchem natchniętych kazań, gdyż taki wyrobnik dla stu różnych przyczyn nie pójdzie na kazanie, ale chętnie zechce przypatrzyć się Jasełkom? Czyż dobrze prowadzony ludowy teatr, nawet bez jakiejkolwiek wyraźnej tendencyi (bo ta mogłaby mu wielce zaszkodzić) nie uszlachetni duszy ludu, nie rozdmucha w nim wielu, wielu iskier, na które z różnych stron pryskają wodą?

— Ależ naturalnie, mój drogi — odparł mój towarzysz. — Są to rzeczy tak proste, iż nie wiem doprawdy po co mi je tłomaczysz? Każdy chyba musi się na nie zgodzić. Jest tylko jedna rzecz, z którą się nie obliczyłeś: taki teatr potrzebaby naprzód stworzyć, dać mu stosowny repertuar, urządzić stałe przedstawienia. Dopóki tego nie będzie, piękne słówka na nic się nie zdadzą.

Zarumieniłem się za mego przejaciela.

— Jakto? zawołałem — więc ty żyjąc w Krakowie nie wiesz nic o tem, że teatr ludowy istnieje, że daje widowiska w sali strzeleckiej, że zaprasza na nie włościan ze wsi okolicznych? Nie słyszałeś o doskonałem przedstawieniu »Karpackich Górali«, o dyalogu »Cześć Ci, Wieszczu!« o »Jasełkach?«.

— Cóż chcesz? — odparł chłodno zapytany — nie każdy ma czas na studyowanie gazet. Może tam co i pisali kiedy o tym teatrze, lecz przyznasz sam, że zarówno ja, jakoteż inni do mnie podobni ludzie pracy, mogli z łatwością przeoczyć jakąś tam jedną lub drugą wzmiankę... Prawda, teraz przypominam sobie, czytałem gdzieś tam parę wierszy o »Karpackich Góralach«, ale też i na tem się skończyło,..

Zarumieniłem się znowu, lecz tym razem już nie za mego przyjaciela...

Burzliwy i nerwowy światek peruk i szminki. rzadko kiedy przenosi swe słuszne lub niesłuszne gniewy, zawiści i żale poza tajemniczą i nieprzystępną profanom granicę kulis i garderoby. Na palcach możnaby zliczyć fakta i przypadki, w których jeden lub drugi artysta, oburzoną rzekomą »niesprawiedliwością« lub »animozyą« krytyka, zażąda od niego satysfakcyi za niby to uwłaczające mu recenzye, a nigdy jeszcze ponoś nie zdarzyło się, by »szykanowanemu« przez dyrekcyę lub reżyseryę aktorowi przyszło do głowy poszukiwać swej krzywdy za pomocą publicznych odezw w miejscowych dziennikach. Dzieje teatru polskiego w ostatnich latach nie zapisują też prócz słynnego »strejku« artystów teatru skarbkowskiego we Lwowie, za dyrekcyi p. Schmidta, oraz pojedynku p. Floryańskiego z p. Gallem, żadnych podobnych awantur w większym stylu.

Dopiero przełom dwóch wieków zaznaczył się w skandalicznej kronice teatrów polskich deszczem różnych protestów, kontrprotestów, replik i duplik, które zajęły sobą opinię publiczną aż do zupełnego znudzenia. Prym dzierżył w tym względzie świeżo zorganizowany teatr lwowski, gdzie orkiestra po wielu perypetyach przeprowadziła nakoniec dymisyonowanie niemiłego jej kapelmistrza. Skutkiem tego, pilni czytelnicy gazet mieli dużo do roboty z »oskarżeniami »wyjaśnieniami« »protestami« i tp. środkami do usprawiedliwienia różnych rzeczy, które żadną miarą nie mogą być usprawiedliwione. Na szczęście, rozbujałe fale fluktów orkiestralnych po części już się uspokoiły a burza przeminęła, wstrząsnąwszy jednak potężnie nadpsutymi podwalinami państwa duńskiego...

Ale widać, że nowy wiek musi zawsze rozpocząć się od tego, na czem skończył jego zgrzybiały poprzednik. Jeszcze nie mieliśmy czasu zapomnieć o niesmacznej lwowskiej awanturze, a już światek artystyczny syreniego grodu, stał się widownią prawdziwej burzy w szklance wody. Artyści teatru Rozmaitości wystosowali do »Kuryera Codziennego« publiczny protest przeciwko stanowisku, jakie zajął odnośnie do ich pracy p. Sygietyński, muzyk i literat, onego czasu wielce wpływowa osobistość na ławie przysięgłych znawców gędziebnego kunsztu.

Powód do tej krucyaty Frenklów, Wojdałowiczów, Śliwickich i Rapackich przeciw p. Sygietyńskiemu, dały jego felietony, zamieszczone przez »Kuryer Warszawski«, a płynące, zdaniem artystów, »z wątroby, nie ze serca« i »z chęci podnoszenia swego« »ja« nie zaś »ze szczerej miłości sztuki.«

Ściśle rzecz biorąc, artystom nie przysługuje prawo polemizowania z oceną ich działalności, zamieszczoną przez jakieś pismo: rozpowszechnienie się takiego zwyczaju, mogłoby doprowadzić do absurdów. Polem do zadania kłamu nieprzychylnej o sobie opinii jest dla artysty scena, stamtąd on przemawia do publiczności, taksamo, jak to czyni krytyk na łamach dziennika. Udawadnianie na papierze, iż wbrew zdaniu pana X. czy Y. aktor Z. gra dobrze, jest nonsensem. Tu więc artyści Teatru Rozmaitości stanowczo chybili celu i postąpili niewłaściwie. Okolicznością łagodzącą ich zachowanie się może być jedynie to, iż złośliwa, a w dodatku nie całkiem fachowa krytyka p. Sygietyńskiego mogła podrażnić czułą ambicyę *„genus irritabile“* zwłaszcza, że strzały padły z łamów pisma wielce rozpowszechnionego w Warszawie.

Z drugiej zaś strony trudno nie wyrazić zdziwienia że dotknięci przez p. Sygietyńskiego artyści, ulubieńcy publiczności warszawskiej, zaopatrzeni nie od dzisiaj »marką«, zapewniającą im stałe powodzenie i bezwzględne sukcesy, uznali za stosowne bronić się w ten sposób przeciw atakom, które im taktycznie żadnej szkody przynieść nie mogły i nie mogą. Gdyby czegoś podobnego dopuścił się początkujący adept sztuki, człowiek, którego karyera zależy od przychylnego lub nieprzyjaznego stanowiska prasy, to cała historya byłaby łatwiejszą do usprawiedliwienia. Ale taki Frenkiel, Ładnowski, Rapacki, Żelazowski, Śliwicki lub Wolski, artyści, których stałe powodzenie zostało wypróbowane w ogniu tylu walnych bitew, czegoż oni właśnie się mają obawiać że strony p. Sygietyńskiego? Prawdą jest, że prasa warszawska ma na tamtejszą publiczność teatralną wpływ niemały, o wiele większy niż to ma miejsce w innych miastach np. w Krakowie, lecz z drugiej strony trudno również zaprzeczyć że ta potęga suggestyi jest przywilejem niewielu uznanych znawców, do których zresztą pan Sygietyński w zakresie dramatu wcale nie bywa zaliczany. Był czas, w którym autor »Wysadzonego z siodła« urabiał opinię publiczną co do — opery, lecz i te piękne dni oddawna już przeminęły. Na p. Sygietyńskim okazało się, że w niektórych przypadkach nietylko »człowiek — miejsce« lecz i »miejsce człowieka zdobi.« Wiatrem nadziane, górnolotne frazesy, zepchnięte z trybuny »Kuryera Warszawskiego« na odludne łamy »Gazety Polskiej«, straciły $^9/_{10}$ ze swej praktycznej wartości, obecnie zaś nikt się już z niemi nie potrzebuje liczyć.

Tembardziej zatem musi nas zdziwić niestosowne i całkiem zbyteczne wystąpienie warszawskich aktorów. Huczne oklaski rozbawionej i wzruszonej publiczności zagłuszyłyby i bez tego huk spękanych moździerzy, którym chce p. Sygietyński zwrócić ku sobie za każdą cenę oczy i uszy czytającego ogółu, obecnie zaś sprawa, przeniesiona na grunt teoretyczny, musi wypaść na niekorzyść tej strony, która celem odniesienia zupełnego zwycięstwa potrzebowała tylko — milczeć.

I zagotowało się w Krakowie jak w garnku. Wszędzie, począwszy od arystokratycznych jourfixe'ów a skończywszy na piwnych debatach u mistrzów śniadankowego cechu, rozprawiano tylko o tem, że »Bajecznie kolorowa« ukazuje się znowu w drugiem, »tym razem wcale nieporawnem wydaniu«. Zdawałoby się, że tajemniczy kunszt astrologii rozkwitnął w Krakowie tak, jak za dobrych czasów śp. mistrza Twardowskiego: każdy uważał za stosowne badać konstelacyę małżeńską przez teleskop swego widzimisię i stawiać horoskopy, godne czcigodnego Teofrasta Paracelsusa Bombasta. Ze przytem padło niemało jadowitych strzał pod adresem śmiałka, burzącego prastare mury konwenansów — o tem, znając miły krakowski ludek trudno choć na chwilę powątpiewać.

Ale przeszło i to, jak przechodzi wszystko co się na świecie dzieje. Tłum, godny jubileuszu Almae matris, lub przyjazdu arcyksięcia zapełnił jeszcze plac przed kościołem Maryackim, ostatnie błyskawice mniej lub więcej pięknych oczu padły na przepyszny strój wiejskiej dziewoi i — zwykłe miejskie plotki zajęły z powrotem należne sobie miejsce. A już gdy po paru tygodniach zobaczono, że »nieszczęsny młodzian« ma się równie dobrze jak przedtem, że twarz jego nie zmieniła się w tragiczną maskę, a wyraz oczu nie zdradza początków melancholii, termometr ciekawości ogólnej opadł na 0. Niezadowolony z takiego obrotu rzeczy plebs zanucił z ironią: »Zamiast tragedyi,

„PSUBRATY“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy).

Upłynęło jeszcze dobre pół godziny na poufnej, w szept przechodzącej rozmowie księżnej Czarotyńskiej z detektywem Spitzbartem. Rozeszli się przyjaźnie, jak dobrzy i dawni przyjaciele.

. . . .

Nazajutrz Spitzbart z bogatym łupem pieniężnym był już w drodze do Wiednia, aby pilnować tam procesu Müllera i pozwolić tymczasem uroczej księżnej zabrać się do wykonywania poleceń tajemniczego testamentu, którego treść nikomu nie była znana.

Przyjazd księcia do Lwowa był naturalnie wypadkiem dnia. Wszyscy interesowali się tym młodzieńcem, który odbywszy twardą szkołę pracy w amerykańskich warsztatach, wracał do kraju z uroczą małżonką i z milionami, które wraz z nią zdobył.

Książę zabrał się do dzieła, nie tracąc czasu. Zakładał towarzystwa akcyjne, powoływał do życia instytucye kredytowe, konferował z budowniczymi, inżynierami, technikami i geologami. Dzień w dzień prasa przynosiła o nim coraz to nowe szczegóły.

Księżna nie pokazywała się nigdzie; daremnie mąż usiłował ją namówić na pójście do teatru, lub złożenie wizyt. Tłomaczyła się migreną, która jej ustawicznie dokuczała. Za to tem czynniej pomagała mężowi w planach przedsiębiorstw, jakie przygotowywał.

Przez jakiś czas zajmowano się we Lwowie żywo małżonką księcia, wmiarę jak stawał się coraz bardziej jednym z najpopularniejszych ludzi w kraju. Opowiadano najfantastyczniejsze szczegóły o jej pochodzeniu; w końcu jednak pogodzono się z wersyą, że księżna jest Hiszpanką, która tylko z miłości dla męża nauczyła się po polsku.

Tymczasem w terenach naftowych księcia nafta tryskała strumieniami, a z niezliczonych nowych wierceń obiecywano sobie cały potop bogactwa dla kraju. Powstawały nowe instytucye finansowe z nazwiskiem księcia w radach nadzorczych, instytucye ku którym odrazu garnęły się tłumy, składając z zaufaniem swoje oszczędności na ołtarzu krajowego przemysłu. Niech Czarotyński niemi obraca— mówiono; za rok albo za dwa podwoi, albo potroi się wszystko. Instytucye w ten sposób powołane do życia, puściły w ruch dziesiątki i setki milionów; fabryka powstawała za fabryką, kopalnie wydobywały skarby z ziemi tam, gdzie kilka miesięcy temu nie domyślano się niczego innego, prócz piasków i krzemieni. Gorączka opanowała stolicę; w przeciągu kilku tygodni ludzie robili ogromne majątki. Szampan lał się strumieniami; na targach klejnotów uważano, że Lwów stał się jednem z ważniejszych miejsc zbytu. Kurtyzanki międzynarodowe poczynały ściągać do Lwowa, porzucając nawet Paryż, jako mniej intratne niż Lwów miejsce działania.

Między kurtyzankami, które do Lwowa ściągnęły, była także Sali Windstern. Sali porzuciła już scenę, uważając zawód operetkowej diwy za nielicujący z jej dzisiejszym majątkiem i z jej obecnem stanowiskiem. Była bowiem przez jakiś czas kochanką jednego z wielkich książąt i została wtedy tytuł baronównej. Do Lwowa baronówna Windstern przyjechała naturalnie w towarzystwie Adolfa Spitzbarta, który nosił oficyalny tytuł jej „sekretarza“.

Pewnego dnia przed willę, zamieszkiwaną przez Czarotyńskich, zatoczył się powóz herbowy. Lokaj zeskoczył z kozła, odebrał od siedzących w karecie karty wizytowe i zaniósł je do willi z zapytaniem, „czy księżna pani przyjmuje“. Kiedy przyniesiono księżnej bilety, brwi jej ściągnęły się groźnie.

— Poproś prosto do mojego buduaru — brzmiał rozkaz.

Na kartach były wypisane nazwiska baronównej Windstern i Adolfa Spitzbarta. Po chwili zjawili się oboje we drzwiach; Sali cała w brylantach, Adolf w smokingu.

Księżna z zaciśniętemi w gniewie ustami, wskazała wchodzącym miejsce. Adolf podszedł do niej i wskazując na Sali rzekł:

— Baronówna oddawna pragnęła mieć zaszczyt poznania pani. Nie mogłem się oprzeć jej prośbie i obiecałem ją pani przedstawić.

— Tak — zawołała Sali rzucając się na kanapę,— byłam bardzo ciekawa zobaczyć cię, jak wyglądasz. Ale prócz tego sprzykrzyło mi się życie kurtyzany. Mam już dosyć pieniędzy na to, aby módz żyć w tym samym świecie, do którego ty się wcisnęłaś. Słuchaj, uradziliśmy z Adolfem, że musisz mnie wprowadzić w koła, w których się obraca twój mąż... no, oczywiście ten mąż, który jest na wolności, a nie ten, który gnije w kryminale!

Roześmiała się Sali ze swego konceptu. Ale w oczach księżnej były błyskawice. Zwróciła się ku Spitzbartowi i syczącym głosem przez zaciśnięte z wściekłości zęby jęła mówić:

— Co to ma znaczyć, panie Spitzbart? Jakim tonem śmie mówić do mnie ta kobieta, którą pierwszy raz widzę i czego więcej możesz pan odemnie chcieć? Nie było tygodnia od naszego nieszczęsnego poznania się, żebyś pan nie kazał posyłać sobie olbrzymich sum do Wiednia. Posyłałam ci je bez słowa sprzeciwienia się, choć już zabrałeś przeszło połowę mojego majątku. Dlaczego pan przyjechałeś i dlaczego przyprowadzasz do mnie tę kobietę?

— Przyjechałem, ażeby zdać pani sprawę z procesu Müllera i przestrzedz panią przed niebezpieczeństwem, jakie pani grozi. Co zaś do życzeń baronówny, są one czysto kobiecym kaprysem, który starałem się jej wybić z głowy — niestety na próżno. Może pani uda się to lepiej odemnie... Porozumiecie się panie zresztą między sobą; ja muszę panią tylko ostrzedz, że ja jestem sekretarzem baronówny i że wszelkie jej rozkazy mam obowiązek spełniać. (C. d. n.).

mamy komedyę« i począł w dalszym ciągu wentylować szkiełka układające się w kalejdoskopie linii A - B wiecznie tym samym, śmiertelnie nudnym porządkiem.

Naraz padł grom.

Jedno z pism krakowskich zamieściło kilka prześlicznych, pełnych wdzięku i prostoty poezyj, nadmieniając skromnie, że są one małą cząstką zbioru, który ukaże się wkrótce nakładem etc. etc.

Poezye! Ależ w Krakowie ukazywało się ich już tyle, i to kiepskich, że aż wzrok czytającej publiczności począł ulegać zboczeniom daltonizmu! Przestano w końcu odróżniać czy wiersz jest zły, czy dobry, ba, prześlepiano nawet jasne brylanciki o przepysznym blasku tak, jak gdyby nic ich nie odcinało od szarego tła przeciętności! Skądże więc takie gorączkowe zainteresowanie się kilku strofkami?

Oto »opinia publiczna« miała nadzieję zajrzeć przez okienka rymów zarówno do duszy, jak i do mieszkania poety. Spodziewano się utajonych alluzyi, pikantnych zwrotów, myślano, iż autor przed oczami ciekawych widzów obróci choć parę razy rożen, na którym musi (naturalnie!) tkwić jego serce szarpane przeróżnymi uczuciami, jednem słowem ciekawość ogółu koncentrowała się nie na samych wierszach, lecz i na tem, co pomiędzy nimi znaleźć się spodziewano.

Tymczasem oczekiwania zostały w $^9/_{10}$ grubo zawiedzione. Rozbrajająca prostota treści przy świetnej, kunsztownej formie, spokój zamiast podrygów, naturalność w miejsce patosu, a przytem nic dla spalonych podniebień, żądnych choćby tylko jednego miligrama skandalikowej assafoetydy, ani jednej szybki, przez którą możnaby zajrzeć do prywatnego mieszkania... W obec takiego zawodu jedna już tylko została droga: poeta jest nieszczery, pisze to, czego nie czuje, nie wkłada duszy w swoje rymy, jednem słowem — udaje.

I katarynka opinii zapiszczała na nowo we wszystkie przedęte fujary, zagotowało się po jourfixe'ach i handelkach:

— Czytałeś pan?

— Naturalnie!

— No, i cóż?

— Oho! Nie nas brać, panie, nie nas! My wiemy dobrze, co w trawie piszczy! Opinia, panie...!

O tem co mówiono po herbatkach i kolacyach, nie mogę pouczyć czytelników. Buduarowe komentarze i uwagi czynione za wachlarzem, nie całkiem nadają się do opublikowania, gdyż niektóre nasze damy rzadko kiedy zdecydowałyby się powtórzyć przy swoich mężach to, co w podobnych wypadkach opowiadają sobie na ucho.

Mniejsza jednak i o to. Fakt, że plotkarska ciekawość, nie znalazłszy spodziewanego żeru, wywarła swoją złość zarówno na wierszach, jak i na poecie, lecz fale jej nie wzniosły się nad groblę zwykłych ucinków i względnie poufnych komentarzy.

I nie poruszalibyśmy zupełnie tej sprawy, gdyby nie okoliczność, że pewien pan z Krakowa, ulokował kapitalik swej złośliwości na szpaltach jednego z pism warszawskich, które zasila płodami swego ducha i powtórzywszy parę przepysznie rzeźbionych strofek, zapytał: »Bardzo to piękne, ale czy — szczere?« Podobne retoryczne pytania mają tę zaletę, że każdy, z wyjątkiem samego zapytanego może dać na nie odpowiedź i to taką, jaką mu dyktuje jego własna domyślność lub... złośliwość. Inna rzecz wszakże, do jakiego działu publicystyki należy je zaliczać; że nie do krytyki literackiej, to zdaje się być rzeczą pewną.

To też każdy myślący człowiek spotkawszy się z podobnym wybrykiem reporterskiej ciekawości, musi znowu ze swej strony zapytać takiego wściubskiego: Za pozwoleniem szanownego pana, a co panu do tego?!

W tym razie *pytanie* jest najlepszą z przyzwoitych *odpowiedzi*.

Pertinax.

PTAK PRZELOTNY

obrazek ludowy

napisał

Konstanty Krumłowski.

(Ciąg dalszy).

Wybrał tedy ryzykowną — ale i jedyną drogę: podstęp.

Stanąwszy ze swą pupilką przed obliczem pani Anieli — oświadczył w oschłym, urzędowym tonie, że jestto nowa, osobiście przez Jaśnie pana zgodzona służąca i dodał z naciskiem polecenie natychmiastowego wyznaczenia jej zajęcia.

Klucznica przyjęła tę wiadomość z podziwiającem spojrzeniem rzuconem na dziewczynę, Kajetanowi odrzekła zaś równie oschle i dyplomatycznie.

— Dobrze! Dobrze!

Właściciel rudych bakenbardów i srebrnej dewizki, poczuwał się jeszcze do obowiązku udzielenia nowoprzyjętej ojcowskich admonicyi, dotyczących pracowitości, trzeźwości, moralności i innych zalet ewangelicznych, w służbowym stosunku bezwzględnie wymaganych.

— Niech *osoba* pana Kajetana będzie spokojna — przerwała mu budujące kazanie, cierpkim tonem pani Aniela — już ja tu ją sama *wyabrychteruję*.

Przy ostatniem słowie, dostało się zmięszanej tem wszystkiem dziewczynie znowu jedno z owych obiecujących spojrzeń, w których pani Aniela celowała.

Po jego odejściu zwróciła się do Marcysi i podparła w boki, przytupując i trzęsąc całym korpusem, to znów wywijając jej rękami przed nosem krzyczała.

— To ty czopie *jakiś* nie wiesz, że do mnie się trzeba zgłaszać *wskroś* służby? co?

Nie doczekawszy się zaś odpowiedzi, huczała dalej nad głową dziewczyny:

— Ona do Jaśnie pana! po protekcyje!... *pokuszenie czy co?!* Dam ja ci protekcyje kołtunie *jakiś!* Wystroiła ci się jak jaka grafini i dalej do *dwora!...* Już też i nasz pan mógłby mieć więcej statku i *uważności!* Pańska rzecz siedzieć w pokojach, a moja rzecz służbę godzić i nikomu się do tego wtrącać nie pozwolę — nikomu! nikomu!

Krzyczała czyniąc rękami w powietrzu ruchy, które dla swej bliskiej odległości od Marcysi, mogły ją były z słusznością nabawić pewnej nieufności i obawy względem przyszłej przełożonej.

To też widząc ponownie niejasną swą sytuacyę — uciekła się dziewczyna do zwykłego w tych razach łagodzącego środka i przyskoczywszy ku pani Anieli i nie zważając na szerokie jej giesta — złożyła odważnie dwukrotny głośny pocałunek na grubem ramieniu klucznicy.

Chłop nasz ma w sobie wiele poczucia lojalności wobec każdej zwierzchności i władzy, a daje mu zewnętrzny wyraz — całowaniem ręki, czasem i ramienia.

Chłop całuje gładkie ręce księdza z czci lub wdzięczności za udzieloną radę lub naganę — całuje tłustą dłoń dziedzica wydzielającą mu zapłatę, — w niektórych wypadkach i razy — całuje z rozpaczną prośbą ramię komornika, gdy za podatek grabi mu pierzynę z chałupy i wyprowadza krowę z obory — całuje nieraz i plugawą żydowską łapę wyciskającą z niego ostatni pot i łzy — zabierającą ostatnią kurę z podwórza i grosz ostatni ze skrzyni „za procenta". Całuje z uszanowania i obawy przed „władzą" ręce pana „postenführera" żandarmskiego i oficyała ze sądu i pisarza ze starostwa...

Bez kwestyi! Są wyjątki — są liczne wyjątki, ograniczające się na uchyleniu kapelusza lub nawet tylko na pozdrowieniu, ba! są chłopi wyciągający twardą i nie zawsze umytą dłoń — tak jest! wyciągający dłoń do „za pan brat" — powitania ze surdutowcem!!...

Ale są to wyjątki tylko, które — być może — zbyt żywo biorą sobie do serca nauki z ambony o równości wszystkich wobec Boga — i zbyt pochopnie nabierają przekonań o równości wszystkich — wobec prawa.

Szary tłum chłopski zdala od ognisk oświaty i ruchu społecznego, zachował w całej przedziwnej czystości — nieskażony, sakramentalny ów akt całowania ręki, z towarzyszącem mu pobożnem westchnieniem i spuszczeniem oczu do ziemi — akt datujący się jeszcze z patryarchalnych czasów batów i „darmochy" (pańszczyzny) — ekonomów i mandataryuszów.

Środek ten poskutkował po części i w drastycznem położeniu Marcysi.

Klucznica przyjrzała się jej lepiej i zmierzywszy ją małemi, bystremi oczkami krzyczała jeszcze głośniej, ale z widocznie zmniejszoną miarą irytacyi.

— Jak się to *wyczupirzyło*, szkoda, żeś jeszcze kapelusza nie wdziała jak ja, i rękawiczek ty *kulfonie* jakiś... Pokuszenie, czy co!... Pewnie *se* myślisz, że w tych spodnicach może i w butach będziesz do pola chodziła — chamie *jakiś!*

Marcysia nie odpowiadała nic, przestępowała z nogi na nogę, strojąc pocieszne miny a pilnie wodząc oczyma za rozmachanemi ruchami pani Anieli.

Ale wszystko ma swój koniec — i oburzenia i wymowa klucznicy wyczerpały się wreszcie.

Wzruszyła jeszcze kilka razy ramionami nad „cudokiem", kazała jej już zostać, przebrać się „do ludzi" i pomyć naczynia służby z obiadu.

Co do „zasług" i dalszych obowiązków, obiecała „koczkodona tego" niebawem pouczyć.

(C. d. n.)

Ciekawe wykopaliska.

Umiejętne i szczęśliwe poszukiwania pensylwańskiego profesora Hilprechta w okolicach prastarego Babilonu, odsłoniły przed nami nadzwyczaj zajmujące szczegóły o państwie assyryjskiem, pogrzebanem pod piaskami pustyni przed tysiącami lat.

Na owych piaskach zwolna zakwitło później nowe życie, wśród gajów palmowych rozsiadły się muzułmańskie plemiona — i o prastarej Babilonii, nazywanej w starym Testamencie Chaldeą, a przez Greków państwem Bela, mówiły już tylko legendy i podania Herodota. Z pism tego greckiego kronikarza dokładnie wiedziano, że Babilon leżał na niżu Eufratu, po obu brzegach tej rzeki i że swym kształtem tworzył kwadrat, którego każdy bok miał długości 120 stadyów, czyli około 23 kilometrów; dalej, że otaczał go podwójny mur — każdy wysokości mniej więcej 50 a szerokości 30 metrów — i że między nimi ciągnął się przepaścisty rów, napełniany, gdy zachodziła wojenna potrzeba, wodą z Eufratu. Nad tym kanałem wisiało sto kamiennych mostów, zbudowanych z brył gran towych, które sprowadzono aż z dalekiej Armenii. Przy każdym moście były w obu murach obronne wieże, niektóre olbrzymie, jak naprzykład ta, którą wedle Herodota zbudował Nabuchodonozor na fundamentach legendowej wieży Babel. W samem mieście były bajeczne pałace i świątynie Bela, otoczone ogrodami, a przy ulicach, prostych jak napięte struny i krzyżujących się pod prostymi kątami, stały domy, w których mieszkała milionowa ludność. Wiedziano, że napady królów perskich doprowadziły to wspaniałe miasto do znacznego upadku; że w jednem z pałaców królewskiego kwartału, otoczonego jeszcze osobnym murem, mieszkał i umarł Aleksander macedoński, i że po nim, kiedy stolicę przeniesiono do Seleucyi nad Tygrysem, na zbudowanie tego nowego grodu brano materyał z babilońskich budynków. Uczeni archeologowie korzystając z tych dokładnych opisów Herodota i notatek podróżników arabskich, odszukali miejsce, na którem stał Babilon, odkopali go i znaleźli sporo tabliczek, wmurowanych w świątynie i pałace, a wypełnionych pismem klinowem, po którego odcyfrowaniu przekonano się, że owo państwo assyryjskie, czy chaldejskie, które samo siebie nazywało Sinear, musiało być wybornie zorganizowane i ucywilizowane, skoro posiadało stolicę pełną wspaniałych gmachów, ozdobionych rzeźbami i barwną mozajką, oraz świątyń nad których dźwignięciem pracowało niezliczone mrowie ludzkie — świątyń tak olbrzymich, że kiedy Aleksander macedoński, przyrzekłszy ludności odbudować zburzoną przez Persów część świątyni Bela, kazał przedewszystkiem usunąć rumowisko, to nad tem przez dwa miesiące pracowało dziesięć tysięcy robotników. Tablice wmurowane w pałacach i świątyniach, opiewały wielkość bożka Bela i jego dobrodziejstwa, oraz sławne czyny monarchów Nabuchodonozora, Nimruda, Semiramidy, ale o stanie kraju i jego organizacyi wspominały tylko przelotnie. Wiedziano więc, że była wysoka cywilizacya, przepych i — rozwiązłość. Te wiadomości zawdzięczamy assyryologom angielskim Richowi i Rawlinsonowi, oraz francuskiej ekspedycyi archeologicznej pod kierunkiem Opperta.

Pensylwański profesor Hilprecht wysłany do Assyryi przez naukowe stowarzyszenia północno-amerykańskie wyszedł z tego założenia, że skoro Babilon był przedmiotem nieustannych ataków perskich, skoro go zburzono, a potem jego mury rozbierano na budowę innego miasta, to przecież nie pozostawiono w nim nic takiego, co bez trudu mogło być przewiezione. Dlatego niedość jest odkopywać Babilon, ale trzeba także znaleść i odsłonić inne ówczesne miasta assyryjskie, o których wspomina Herodot, a więc Erech, Akkad i Chalneh. Rok temu udało mu się odkopać właśnie to ostatnie miasto, a w niem znalazł on publiczną bibliotekę, muzeum sztuki i archiwum „królewskiego pełnomocnika do zatwierdzania układów między obywatelami", czyli po naszemu — notaryusza, którym był „uczony i sprawiedliwy mąż" Murasza, mający do pomocy dwóch synów.

Muzeum sztuki zawiera posągi bożka Bela w przeróżnych postaciach, naczynia używane w świątyniach i mozajkowe obrazy bitew. Całej biblioteki Hilprecht jeszcze nie odkopał. Oblicza on, że w niej znajduje się najmniej 150.000 tablic zapisanych klinowemi znakami, lecz on z pomocnikami swymi odczytał dopiero 17.000 tablic, z których najstarsza jest dokumentem z przed siedmiu tysięcy lat, a najpóźniejsza powstała 2280 lat przed narodzeniem Chrystusa Pana. Już ten materyał archiwalny pozwolił Hilprechtowi odtworzyć obraz ówczesnego życia Assyryi.

Tablice są zrobione z prasowanej gliny, wysuszonej na słońcu i po napisaniu na nich dokumentu, powleczone glazurą, która wybornie się zachowała. Rzecz ciekawa, że opisy, zawarte na tablicach najstarszych, najdawniejszych, sięgają-

cych siedmiu tysięcy lat wstecz, przedstawiają czasy największego rozkwitu Assyryi. A były to czasy wielce podobne do naszych. Rolnictwo stało ogromnie wysoko, całe państwo pokryte było siecią kanałów, z których wodę wypuszczano na pola, łąki i ogrody. Ponieważ Eufrat często wylewał, niszcząc łany i wioski, przeto wykopano sztuczne jeziora, które napełniano podczas wezbrania wody w Eufracie, a potem kanałami rozprowadzano tę wodę po całym kraju i zraszano nią pola podczas

Wojna w południowej Afryce,



Boerowie, więzieni przez Anglików na wyspie św. Heleny.

letnich skwarów. Majętni ziemianie już sami nie zajmowali się rolnictwem, lecz pędzili w miastach wesołe życie, ucztując, grając w kości, prześcigając się na czterokonnych kwadrygach, pozłocistych i ozdobionych kością słoniową, albo — kochali się w tancerkach, gromadzili w swych pałacach dzieła sztuki, słuchali deklamatorów, którzy śpiewnym głosem opowiadali bohaterskie i romansowe przygody. Ziemię swą rozdawali oni czynszownikom, nad którymi stali pełnomocnicy owych niby lordów dzisiejszych. Z treści tablic wynika, że nader częste były spory między rządcami a czynszownikami, którzy utrzymywali, że ziemia jest własnością tego, kto na niej pracuje i na tej podstawie odmawiali czynszu. Zwłaszcza zdarzało się to wtedy, gdy zmarł dziedzic. Pochowanie jego było bardzo kosztowne, a całym swym ciężarem spadało na czynszowników. Taki nieboszczyk, owinięty w jedwabną tkaninę, był wkładany do glinianej urny, zalepionej szczelnie, wysuszonej na kamień, potem glazurowanej na błękitno, a dopiero następnie pokrywanej malaturą która czem była kosztowniejsza, tem większy honor dla domu. Na to się rujnowano. Ale potem jeszcze trwały długie żałobne obchody, stypy, wreszcie sam pogrzeb urny w ziemi i wzniesienie na tem miejscu piramidki, koniecznie z kamienia, a kamień sprowadzano Eufratem aż z gór Ararackich. To wszystko opłacali włościanie, więc często się buntowali i trzeba było wojskiem przywoływać ich do porządku. Z treści tablic wynika, że miano już wtedy pojęcie o — socyaliźmie.

Wybornie też znano weksle, lichwę i napróżno broniono się od niej ustawami, które zawsze umiano obchodzić. Podobieństwo owych wygrzebanych z pod ziemi czasów do dni naszych występuje jeszcze i w tem, że jubilerzy i złotnicy dawali gwarancye, iż sprzedane przez nich wyroby nie popsują się w ciągu określonej liczby lat. Tak naprzykład tabliczka, znaleziona w archiwum notaryusza Murasza, zawiera oświadczenie jubilera, iż sprzedany przezeń szmaragd pewnemu młodzieńcowi, nie wypadnie z pierścionka w ciągu lat dwudziestu. Ale z tego widać, że owe czasy różnią się też bardzo od naszych, bo dziś za trwałość swego wyrobu przez lat dwadzieścia nie poręczy żaden rzemieślnik i wogóle trwałość wszelkich dzisiejszych stosunków jest tak krótka, że komużby przyszło do głowy żądać rękojmi aż na lat dwadzieścia!

„Zawisza Czarny" Tetmajera.

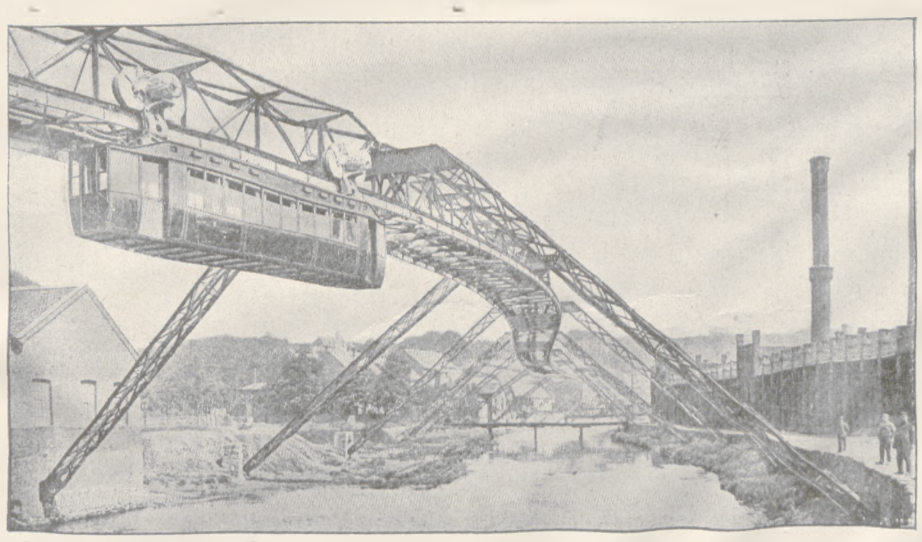
Wspaniały dramat fantastyczny o „Zawiszy Czarnym" najznakomitszego dziś poety polskiego Kazimierza Tetmajera, przedstawiony będzie w teatrze krakowskim w dniu 1. lutego.

Będzie to niezwykła uroczystość literacka; będzie to znaczący wypadek w polskiem piśmiennictwie, tak ubogiem w dzieła dramatyczne wielkiego znaczenia. Po za dramatami Słowackiego, po za „Popielem i Piastem" Romanowskiego — mieliśmy w dziedzinie dramatu poetycznego dotąd tylko nieudałe twory Szujskiego, — akademickie, zimne, bez natchnienia pisane tragedye Bełcikowskiego, Rapackiego i Kozłowskiego, aż dopiero w ostatnich czasach Lucyan Rydel obdarzył teatr polski „Zaczarowanem Kołem", którego wielki sukces świadczy, jak stęsknieni jesteśmy za rodzinną poezyą na narodowej scenie.

Nie wahamy się zapowiedzieć, że Tetmajer w „Zawiszy Czarnym" wstępuje na te wyżyny, na których dotąd był w osamotnieniu jedynie Słowacki. Dramat, który ujrzymy pierwszego lutego, jest właściwie pierwszą częścią tylko, fragmentem całości, która dopiero w przyszłości ma powstać. Zakrój dzieła jest olbrzymi a bajeczne piękności części pierwszej, każą z niecierpliwości oczekiwać, co z siebie wyda w dalszym ciągu geniusz poety.

Chcemy na tem miejscu podzielić się z czytelnikami ogólnikowem wrażeniem, odniesionem z lektury dzieła przed dyrektorem i reżyserami krakowskiego teatru. Na rozbiór krytyczny będzie dość czasu po przedstawieniu — zresztą mamy już pewność, że ze szpalt „Głosu" czytelnicy zapoznają się z samym dramatem.

Akt pierwszy jest właściwie prologiem: dzieli go poeta na trzy odsłony. Jesteśmy we wiosce góralskiej u stoku gór Tatrzańskich, nad brzegiem puszczy leśnej. Na scenę wjeżdża rycerz ogromny w czarnej zbroi, wiodąc ze sobą dostojnego jeńca. Rycerzem: Zawisza z Garbowa, jeńcem: Felsberskie książątko, które jako błędny rycerz wtargnęło do naszej ziemi, zaraz u wstępu natknęło się na olbrzyma, co mu broń jak piórko z ręki wytrącił, i według umowy przed starciem zawartej w niewolę pojął.



Wiszący tramwaj elektryczny pomiędzy Barmen a Elberfeldem.

Zaraz w pierwszych scenach dramatu przepyszny wiersz jedenastozgłoskowy, rymowany cudownie, pełen barwy, męstwa, jędrności, upaja nas swoją świeżą, oryginalną melodyą. Cóż dopiero, kiedy odzywa się chłopak wiejski, dziwujący się rycerzowi! Pamiętamy wszyscy „List Hanusi" z pierwszej seryi poezyj Tetmajera; wszyscy dziwiliśmy się kunsztowi poety, który umiał gwarę góralską ująć w ramy cudownego wiersza, pełnego prostoty i świeżej, rodzimej, ożywionej niezwykłym wdziękiem poezyi. Otóż tą samą mową, tym samym, tylko może jeszcze doskonalszem wierszem, mówią postacie chłopskie pierwszego aktu „Zawiszy".

Chłopak, który rozmawia z Zawiszą, jest rezolutny i dowcipny. Na zapytania odpowiada konceptami góralskiemi, które wywołują uśmiech na smutnej i pięknej twarzy rycerza. Z rozmów pomiędzy Zawiszą a Holsteinem, pomiędzy giermkiem a chłopami, dowiadujemy się o szczegółach pojedynku i celu podróży rycerza. Zawisza dąży do zamku wojewody. We wsi postanowił odpocząć. Chłopi, u których właśnie wesele, proszą rycerza o to, by im był gościem, Zawisza upojony urokiem ziemi rodzinnej i brzmieniem mowy ojczystej, za któremi zatęsknił w rycerskiej po świecie wędrówce, przyjmuje zaproszenie z radością, ku zgorszeniu felsberskiego książątka.

Późny już wieczór. Noc gwiaździsta. Zawisza odpoczywa. Przechodzi mimo dziewczyna wiejska, udając się na spoczynek. Zawisza rozmawia z nią. Hanka mówi o puszczy, o widmach, które w niej żyją i zaczyna opowiadać znużonemu rycerzowi cudowne tatrzańskie legendy. Rozmarzony rycerz zasypia, a nad wezgłowiem jego zjawia się Wid i jak chór w greckiej tragedyi snuje wątek myśli rycerza i objaśnia jego znaczenie. Poczynamy rozumieć myśl poety — Zawisza jest personifikacyą myśli i dziejów narodu, jest nowem wcieleniem Króla Ducha, którego opiewał w natchnionem widzeniu Słowacki.

Wesele chłopskie — piosnki, przyśpiewki, ochota. Wielka oracya do rycerza, który zebranie zaszczycił — oracya, która będzie jedną z pereł polskiej ludowej poezyi. Prolog kończy się tanami pana z Garbowa, który powiódł w koło taneczne wójtową Radolina ku uciesze i dumie górali.

Po tej wspaniałej uwerturze, tchnącej przedziwnie atmosferą wsi górskiej, odgadnionej gdzieś z przed stuleci — rycerska tragedya. W akcie drugim jesteśmy na zamku wojewody, ojca dwóch cór; Felsberskie książę jest już wolne i spotyka się tu z czarną postacią współrodaka, księdza Barbera. W głowie Barbera powstaje szatański plan wyzyskania ambicyi i prywaty wojewodzińskiej: oto wojewoda, niechętny Jagielle, niechaj wyda córkę swoją Dwinę za Felsberskie książe i niechaj go osadzi na tronie krakowskim. Król Felsberg biskupstwem za to nagrodzi! Scena kuszenia wojewody — przepyszna. Złe bierze górę. — Dwina przeznaczona Felsbergowi. Dzika dziewczyna, o czarnych oczach i duszy trawionej ogniem złego żaru — Gwinony i Balladyny krewniaczka. Za błahe przewinienie sługę na katowanie daje i wścieka się gniewem, kiedy Zawisza, ulegając litośnym prośbom cichej, słodkiej Ewy, młodszej jej siostry, za winowającą do ojca się wstawia. Wojewoda odmawia: Zawisza, który nie prosić, lecz rozkazywać przywykł, sam zrywa pęta. Wybucha kłótnia, do mieczów się rwą — ale wśród tego Zawisza deklaruje miłość swoją dla Ewy; wojewoda miękni, radując się takim zięciem, lecz w namiętnem sercu Dwiny wybucha tuczone nienawiścią zmysłowe pożądanie za rycerzem z Garbowa, który śmie drażnić ją obojętnością i wzgardą.

W akcie trzecim na krużgankach zamku, Dwina narzuca się Zawiszy w płomiennej scenie ze swoją miłością — czarny rycerz odpycha ze wstrętem bezwstydną. Bezpośrednio po tej brutalnej swoją siłą scenie, czarowna miłosna schadzka między Zawiszą i Ewką. Schadzka przerwana szczękiem broni; kogoś dławią; fala szlachty i możnych wzburzona napływa na salę pod krużgankiem. Ewa podaje miecz Zawiszy, który zbiega, mniemając, że ojcu Ewy grozi jakoweś niebezpieczeństwo. Nagłe zjawienie się Zawiszy wywołuje pełną zakłopotania ciszę. On w tem zebraniu

niepotrzebny! To wojewoda sprosił okolicę całą. aby ją dla swych planów pozyskać. Był jakiś młody rycerz, który w imię miłości ojczyzny zaprotestował przeciwko przygotowującej zbrodnie; trup jego płynie już falami Wisły. W chwili, kiedy ukazał się Zawisza, miano się właśnie podobnież ułatwić z ojcem owego rycerza, siwowłosym starcem, który o syna się upominał.

Wojewoda naprzód chce wtajemniczyć Zawiszę we wszystko, żąda jednak od niego ręki, że cokolwiek jest na celu, on wraz z nim bez wahania pójdzie. Zawisza — chrześciański rycerz, odmawia temu żądaniu. Daremnie wojewoda grozi odebraniem mu ukochanej dziewki. Zawisza jest nieugięty: nie dadzą mu Ewki po dobrej woli — poniewoli ją weźmie, a ręki na nieznane nie da. Wojewoda widząc, że tą drogą nie wiele wskóra, uspokaja Zawiszę błahostkami; gości na ucztę zaprasza, licząc, że trunek tego dokona, czego nie dokonają perswazye.

Biesiada i humory się podniecają, piosneczki pijackie i szlacheckie rozweselają serca. W końcu biesiady odsłania dopiero wojewoda zamiary swoje. We wspaniałych słowach gromi go rycerz z Garbowa. Ale pijana szlachta i wrący gniewem wojewoda głuche mają uszy na słowa do serc im wołające. Z Zawiszą chcą uczynić taki sam krótki rachunek, jak z owym młodym rycerzykiem przed chwilą. Pierwszy wojewoda rzuca się na niego z bronią w ręku; jednym ciosem miecza podanego mu przed chwilą przez Ewą, kładzie Zawisza trupem jej ojca i rozprasza nacierającą nań zgraję...

Pojmuje co się stało dopiero wtedy, gdy widzi Ewkę naprzód w rozpaczy nad zwłokami ojca, a potem jak rzuca się w fale Wisły płynącej tuż pod krużgankami zamku... Czuje się zbrodniarzem; opuszcza zamek wojewody wraz z garścią szlachty, która przy nim stanęła. Chce pokutą gdzieś w puszczy tatrzańskiej okupić złowrogi czyn, którym zdruzgotał swoje szczęście.

W następnej odsłonie szlachta odjeżdżająca z zamku wraz z Zawiszą zatrzymała się w drodze na popasie. Jakieś pacholę dumkami rozwesela smutnego jak grób Zawiszę. Dumka którą śpiewa, sama jedna jest arcydziełem, jakiego darmoby się szukało w naszej spółczesnej poezyi... Słychać tentent; to Dwina i książę Felsberg sprowadziwszy garść Krzyżaków, idących w te okolice po Felsberga, urządzają pościg za Zawiszą. Na Zawiszę natyka się Felsberg, ale po pierwszem złożeniu się, ucieka zdjęty trwogą. Dwina wtedy z mieczem rzuca się na Zawiszę, ale on opuszcza broń i poddaje jej pierś pod ciosy... Dwinę w miejsce nienawiści ogarnia wtedy znów żądza; rzuca więc broń i pełza u stóp Zawiszy, ofiarując mu swoje ciało. Zawisza wzgardą cisnąwszy, odchodzi. Dwina jak furya rzuca się na księcia Felsberga i wyrzucając mu tchórzowstwo, godzi nań mieczem. Rani go jednak tylko w ramię, miecz Felsberga natomiast, którym się zasłaniał, rozdziera śmiertelnie pierś dziewczyny...

Epilog pod względem piękności poetycznych jest punktem kulminacyjnym dramatu. Nie podobna go tu szczegółowo opowiedzieć. Zaznaczymy tylko poszczególne momenta. Dekoracya przedstawia pustą skalistą okolicę. Mrok. Skały o fantastycznych kształtach Mnichów drzemią. Wreszcie poczynają między sobą rozmowę. Przyłącza się do niej idący od lasów Szum i schodząca z wierzchów Głusza. Ta przyroda, mówiąca nam od siebie i przez siebie, nie personifikowana allegorycznie, ale wprost występująca jako żywioł — jest czemś zupełnie nowem w poezyi, a w czytaniu sprawia olbrzymie wrażenie. Żywioły przyrody cichną, bo w pustkowiu zjawia się człowiek: To Zawisza, który wprowadza w czyn postanowienie odpokutowania w odludnej samotni grzechu życia.

Po chwili dolatuje gwar głosów pomięszanych; Krzyżacy Felsberga zapuścili się aż do wsi góralskiej łupiąc i gwałcąc. Ci sami chłopi, których widzieliśmy w prologu uciekają w rozsypce i popłochu. Zawisza wstrzymuje ich, wraca wraz z nimi i uderza raz jeszcze na Krzyżaków.

Walka toczy się za sceną. Skały-Mnichy opowiadają sobie jej szczegóły. Pole zasłane trupami Krzyżaków. Mnichy wzywają Ducha Powodzi, aby obmył pole ze krwi. Duch Powodzi pełni swoją powinność. Ale z roztopów wodnych wynurza się widziadło topielicy — Ewy, której obraz ściga aż tu nieszczęsnego Zawiszę. Wid Zawiszy jednak, jego potężny opiekun, wzywa widmo Ewy aby przyłożywszy doń dłonie, wlało ukojenie w jego skołatane rozpaczą serce. Wid oznajmia kim jest — to Bolesław Chrobry, król, kóry uderzeniem Szczerbca w ramię Zawiszy pasuje go na dziejowe posłannictwo. Poemat kończy się słowami Zawiszy:

...„Jak Wisły fale
Duch mój wiecznie płynać będzie:
Bóg źródło wykuł w skale,
Wody niezbędzie...
Wzbija się fala,
Spiętrza — przewala,
Rozpienia...
Jam jest rycerz z cierpienia!
Choćbym padł, orle skrzydła
Będą trupowi ciężyć,
Aż się podźwignie!
Wstać go zmuszą!
Powstanie z duszą,
Potarga śmierci sidła,
Żywą twarzą słońcu mignie!...
(podnosi miecz do góry)
Muszę zwyciężyć!...“

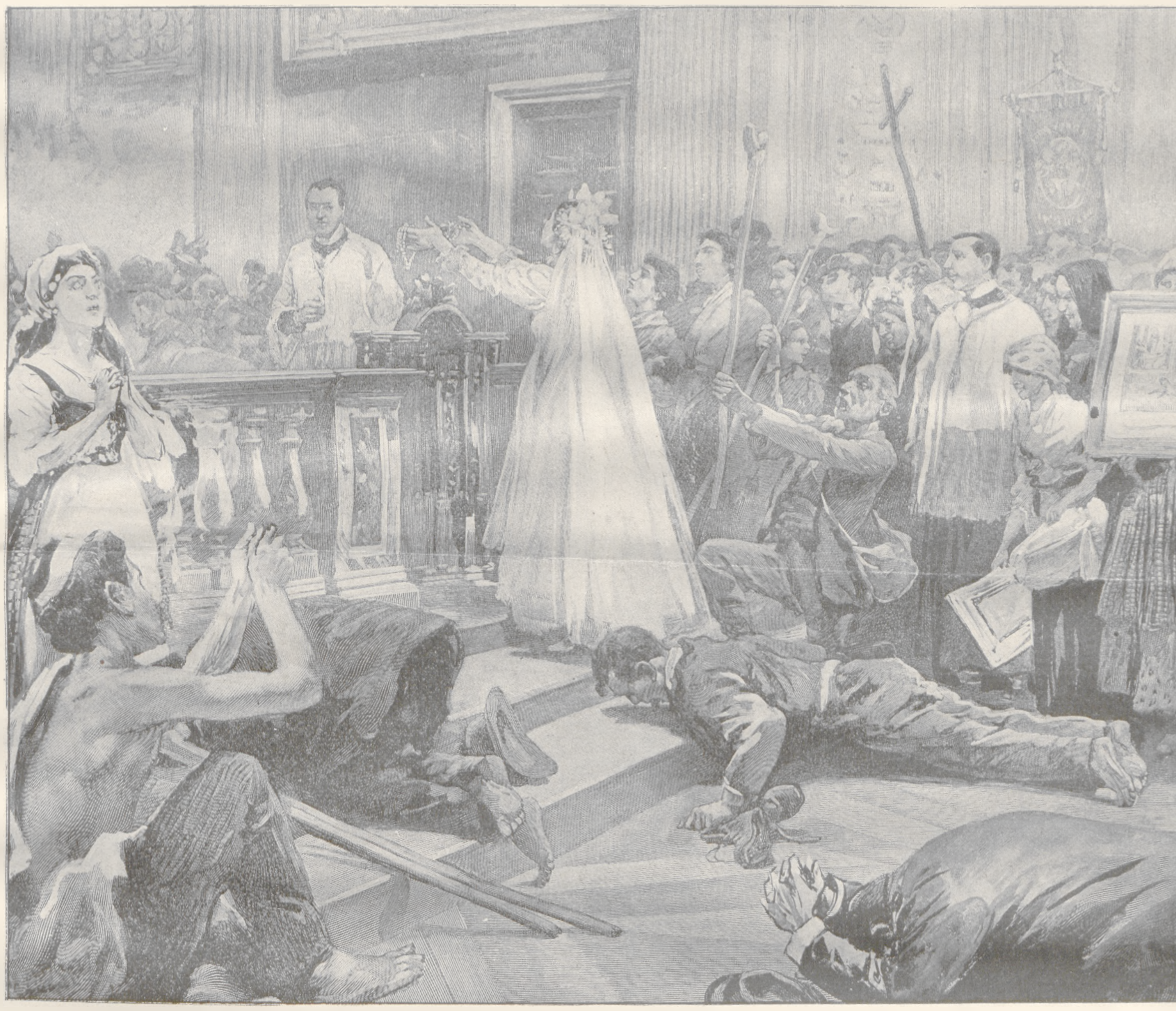
Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy).

Weszli na szpitalne podwórze i owinąwszy główny korpus skierowali się do oficyny gdzie byli obłąkani. A nie wiadomo dlaczego obaj ciągle milczeli. Kiedy weszli do oficyny Nikita zwyczajem swoim wyskoczył i wyprostował się.



Wnętrze kościoła z cudownym obrazem Madonny w Val de Pompei we Włoszech.

— Tu u jednego zaszła zmiana pewna — mówił Hobotow wchodząc z Andrzejem Efimyczem do oddziału — proszę. zaczekaj pan, ja zaraz wrócę, idę tylko po termometr.

I wyszedł.

XVII.

Ściemniało się. Jan Dmitricz leżał na swojem łóżku. wtuliwszy twarz w poduszkę, sparaliżowany siedząc nieruchomo cicho płakał ruszając nogami. Tłusty chłop i były listonosz spali. I była cisza.

Andrzej Efimycz usiadł na łóżku Jana Dmitricza i czekał przeszło tak z pół godziny, a zamiast doktora wszedł Nikita, niosąc pod pachą chałat, czyjąś bieliznę i pantofle.

— Proszę się ubrać, szanowny panie — rzekł cicho. Oto pana pościel, proszę tu — kończył wskazując puste łóżko widocznie nie dawno wniesione. To nic, Bóg pozwoli i pan wyzdrowieje.

Andrzej Efimycz zrozumiał. Nie mówiąc słowa, podszedł do łóżka, które mu Nikita wskazał i siadł, a widząc, że posługacz czeka, rozebrał się i wstyd go ogarnął gdy włożył szpitalne ubranie. Spodnie były za krótkie, koszula za długa, a od chałata biła woń wędzonej ryby.

— Wyzdrowieje pan jak Bóg pozwoli, powtarzał Nikita. I wziąwszy ze sobą ubranie doktora wyszedł zamykając za sobą drzwi.

„Wszystko jedno — myślał Andrzej Efimycz wstydliwie zawijając się w chałat i czując, że w tym nowym kostyumie podobnym jest do aresztanta. Wszystko jedno, wszystko jedno, czy frak, czy mundur, czy ten płaszcz".

Ale gdzie zegarek który był w bocznej kieszeni? A papierosy? Gdzie Nikita zaniósł ubranie? Chyba już do samej śmierci człowiek nie włoży spodni, kamizelki i kamaszek. Z początku to takie dziwne i niezrozumiałe? Andrzej Efimycz jeszcze do tej pory był przekonany że między domem u mieszczanki Biełowej, a oddziałem Nr. 6 niema żadnej różnicy, że wszystko na tym świecie wymysł i głupstwo, a jednak ręce mu drżały, nogi ziębły i było mu dziwnie przykro na myśl, że gdy Jan Dmitricz obudzi się zastanie go w chałacie. Wstał przeszedł się i znów siadł.

Tak minęło z pół godziny, może godzina i znudziło mu się. Czyż rzeczywiście tu tak żyć można dnie tygodnie i lata jak ci ludzie? Znowu przeszedł się, siadł i myślał: można przejść się, wyjrzeć oknem i znów z kąta w kąt, a potem co? wciąż tak siedzieć bez ruchu jak bałwan kamienny i myśleć? Nie, to nie do wytrzymania.

Zatonięcie niemieckiego statku „Gneisenau".



„Gneisenau" na pełnem morzu.

Spróbował leżeć, lecz zaraz wstał, obtarł chłodny pot, co mu wystąpił na czoło połą chałata i uznał że cała twarz przeszła jego wstrętną wonią. Znowu przeszedł się.

— To chyba jakieś nieporozumienie... trzeba dowiedzieć się, to z pewnością nieporozumienie...

W tej chwili zbudził się Jan Dmitricz, siadł podparłszy ręką brodę. Splunął, później apatycznie spojrzał na doktora, widocznie w pierwszej chwili nic nie zrozumiał, wkrótce jednak jego zaspana twarz przybrała zły i ironiczny wyraz.

— Aha, i pana tu wsadzili, gołąbku! mówił złośliwie, zamknąwszy jedno oko. — Bardzo jestem zadowolony. Pan piłeś z ludzi krew, a teraz z pana ją będą sączyć. Przewybornie!

— To jakieś nieporozumienie... tłomaczył się Andrzej Efimycz obawiając się szyderstw Jana Dmitricza. — Jakieś nieporozumienie...

Jan Dmitricz jeszcze raz splunął i położył się.

— Przeklęte życie! I to przykre i straszne że ono nie kończy się nagrodą za cierpienia, ani apoteozą jak w operze, ale śmiercią. Przyjdą karawaniarze, wezmą umarłego za ręce, za nogi, brr! ale to nic. Za to na tamtym świecie będzie nasze święto. Ja z tamtego świata cieniem będę ukazywać się i straszyć podłych ludzi, i ja ich tu pozamykać każę.

W tej chwili wracał z przechadzki swej Moszek, a zobaczywszy doktora rękę do niego wyciągnął.

— Daj kopiejeczkę! — rzekł.

XVIII.

Andrzej Efimycz podszedł do okna i spojrzał na dwór. Już ściemniało się a na krańcu horyzontu, z prawej strony wschodził jasny blask księżyca. Nie daleko od szpitalnych zabudowań stał wielki biały dom, otoczony kamiennym murem. To był gmach więzienny.

— Oto te czyny — pomyślał Andrzej Efimycz i zrobiło mu się straszne. (C. d. n.)

Tłom. Bron. Jeremi.

Jubileusz 40-letniej działalności
Józefa Chociszewskiego.

Bez krzyków płatnej reklamy i bez wybujałych objawów sztucznego, robionego entuzyazmu, obchodził tymi dniami w Gnieźnie 40-lecie swojej działalności literackiej, narodowej i społecznej mąż tak zasłużony względem ludu wiejskiego, że trudnoby znaleść kogoś, coby mógł dorównać choć w części jego zasługom. Mężem tym jest Józef Chociszewski.

Czcigodny jubilat urodził się w Chełście 28. ludego 1837 r. i skończywszy gimnazyum w Trzemesznie oddał się guwernerce. Pierwsze wystąpienie jego na polu publicystyki miało miejsce w 1861 r. w Cieszynie, gdzie redagował „Gwiazdkę Cieszyńską", lecz już po roku został przez rząd austryacki zmuszony do opuszczenia granic państwa. Pod koniec roku 1862 objął redakcyę „Nadwiślanina" i „Przyjaciela Ludu" w Chełmnie; a rok następny przyniósł mu pierwszą karę ze strony pruskiego rządu: dwa lata fortecy w Wisłoujściu za artykuł o Kilińskim

Po wyjściu z więzienia w r. 1865, brał, mieszkając w Gdańsku, żywy udział w zakładaniu Kółek rolniczych w Bobowie, Piasecznie, Pelplinie, i Pieniążkowie. Od roku 1867 do 1869 redagował w Chełmnie pismo rolnicze „Piasta", prócz tego pisma: „Katolika" i „Przyjaciela dzieci i młodzieży" („Katolika" odstąpił potem Karolowi Miarce w Mikołowie), który przeniósł to pismo na Górny Szląsk, do Bytomia. Jak wiadomo, „Katolik" jest dziś najwięcej rozpowszechnioną gazetą polską na Górnym Szlązku.

W roku 1869 przeniósł się do Poznania gdzie założywszy Towarzystwo „Jutrzenka", zarabiał na życie redagowaniem pism, oraz wydawaniem najprzeróżniejszych dzieł i broszur o zawsze głęboko narodowej i umoralniającej treści. 1893 rok zastaje go w Gnieźnie na stanowisku redaktora „Dziennika kujawskiego"; w dwa lata później objął redakcyę „Lecha", obecnie zaś porzucił publicystykę, by oddać się w zupełności pracy literackiej.

Józef Chociszewski jest wzorem i typem najlepszego pisarza ludowego. Niezmordowany w swej chlubnej pracy, znosi cierpliwie prześladowania, kary pieniężne i więzienne, których mu nie szczędzi rząd państwa „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów". Ogół społeczeństwa nie poparł jego usiłowań z taką siłą, jakby się można było spodziewać, wyższe warstwy niejednokrotnie składały mu upokarzające dla nich samych dowody gnuśności i niedbalstwa, lecz mrówcza jego praca nie ustała ani na chwilę. Chociszewski wydał dotąd przeszło trzysta książek i broszur w $1^{1}/_{2}$ miliona egzemplarzy, miał trzydzieści kilka procesów prasowych, wskutek konfiskat utracił druków na kilkanaście tysięcy marek, drugie tyle wydarł mu rząd pruski tytułem kar pieniężnych, a gorliwość swoją w szerzeniu oświaty przypłacał niejednokrotnie więzieniem, w którem strawił bez mała pięć lat życia!

Nie trzeba jednak myśleć, aby tylko rząd pruski prześladował dzieła czcigodnego jubilata. Austrya ma również w księdze jego niepowodzeń osobną kartę, gdyż galicyjska rada szkolna krajowa zakazała używać „Dziejów narodu polskiego" w szkołach jej opiece poruczonych. Książka ta, która doczekawszy się 7 wydań w 60.000 egzemplarzy stała się w Poznańskiem kodeksem patryotyzmu dla najszerszych warstw ludności, nie znalazła łaski w oczach ludzi mających czuwać nad wychowaniem przyszłych pokoleń naszego narodu! Był to dla Chociszewskiego cios niemały zarówno ze względów materyalnych jak i moralnych...

Dzisiaj, sterany wiekiem i przeciwnościami, wlecze ten dzielny pracownik w niedostatku taczkę żywota, zarabiając piórem na skromne, iście spartańskie utrzymanie. Szarpie go bieda, doskwierają kłopoty, a przecież nie wypuszcza z rąk pióra, spełniając wiernie i niezachwianie ciężkie, dobrowolnie na się przyjęte obowiązki. Praca dla dobra ludu, szerzenie patryotyzmu, propagowanie idei narodowej tam, skąd przyszłość Ojczyzny musi wykwitnąć — oto cele, którym poświęcił Chociszewski wszystkie swoje siły i całe, pełne nadludzkich trudów i poświęcenia życie.

Mimo tylu zasług, mimo takiego ogromu pracy obfitej w błogie skutki, jubileusz czcigodnego autora „Książeczki o Kościuszce" nie odbił się w całym narodzie takiem echem, jak to się stać było powinno; poświęcenie, mrówcza wytrwałość i kładzenie zdrowych podwalin pod gmach przyszłości, nie prowadzą u nas do wiwatów, mówek i strzelających butli szampana... Ale też z drugiej strony miłość ludu, wśród którego i dla którego się pracowało, wdzięczność tych, którym dobro Ojczyzny leży na sercu i wreszcie przeświadczenie o rzetelnym pożytku swojej działalności, to chyba najwspanialsze dary jubileuszowe o, jakich tylko może zamarzyć dobry Polak i prawy syn swego narodu.

Mody się zmieniają, łaska tłumu odchodzi jak przyszła niespodziewanie, śmierć zdmuchnie na kształt piórka sławę jednodniowych bożyszcz, lecz prawdziwa zasługa przetrwa zwycięzko próbę czasu i znajdzie zawsze hołd należny, choćby u potomstwa tych ludzi, którzy sami jej nie mogli, czy też nie chcieli uczcić w należyty sposób.

W tej też myśli przesyłamy zasłużonemu krzewicielowi oświaty, prawdziwemu patryocie i zacnemu synowi Ojczyzny, Józefowi Chociszewskiemu serdeczne życzenia pomyślności w dalszej Jego pracy dla dobra narodu! Ad multos annos!

Michał Kramer

dramat w 4-ch aktach przez Gerharda Hauptmanna.

Berlin w styczniu 1901.

Zanim berlińska publiczność będzie miała sposobność zapoznać się z ukończonym już dramatem Hauptmanna p. t. „Biedny Henryk" (Der arme Heinrich), zanim oceni wartość „artystycznej tragedyi" p. t. „Pieśń pasterza" (das Hirtenlied), która wyjdzie wkrótce z warsztatu znakomitego pisarza, autor „Hanusi" przedstawił jej sztukę, napisaną w międzyczasie, w pauzie może pomiędzy jednym a drugim aktem któregoś z poprzedzających utworów i — powiedzmy odrazu — zawiódł oczekiwania swych licznych wielbicieli.

„Michał Kramer" należy do kategoryi zwanej „Künstlerdrama", główną bowiem jego postacią jest malarz, Arnold Kramer, syn malarza, człowiek, jak autor zapewnia, genialny, lecz upośledzony cieleśnie, a według słów własnego ojca „zły" i „z gruntu zepsuty". Smutna historya jego miłości do córki jakiegoś pokątnego szynkarza, miłości, która w końcu popycha go do samobójstwa, stanowi treść i jądro sztuki. Słowa Heinego o „starej historyi, która jest wszakże wiecznie nową" dadzą się tutaj zastosować, lecz niestety jedynie w pierwszej swojej połowie. „Es ist eine alte Geschichte..."

Przypatrzmy się wszakże biegowi akcyi.

W pierwszym akcie Arnold spotyka się z matką, która — wiedząc już o miłości jaką syn żywi ku pięknej Lizie Bänsch, córce szynkarza, królującej za bufetem w knajpie swego życiodawcy — robi mu gorzkie wyrzuty. Miły synalek odmawia jej wszakże wszelkich wyjaśnień, traktując natomiast matkę i widzów sporym zapasem wyrzekań na upośledzenie cielesne, na swoją niezgrabną i brzydką postać, słowem na to wszystko, co według jego mniemania, odpycha odeń ludzi, no — i gorąco upragnioną kochankę. Zamknąwszy oczy i puściwszy nieco wodze fantazyi, możnaby w tych skargach na garbaty los dosłuchać się echa zgryźliwych słów Franciszka Moora... Ale do rzeczy.

Drugi akt rozgrywa się w pracowni starego Kramera. Od wielu lat pracuje on nad obrazem Chrystusa w cierniowej koronie, ukrywając swoje dzieło troskliwie przed oczyma profanów. Z rozmowy, którą prowadzi z młodym malarzem, zmuszonym dla utrzymania żony i dzieci pracować niettylko pędzlem lecz i piórem przy biurku redakcyjnem, dowiadujemy się, iż Kramer ma dużo

zdrowego poglądu na pedagogiczne i życiowe znaczenie pracy; zbyt długie tyrady czynią wszakże ten dydaktyczny dyalog nieco przynudnym. Na szczęście pojawia się Liza Bänsch, bardzo szykowna dziewczyna i denuncyuje nieszczęsnego Arnolda przed ojcem, żądając, by tenże wybił synowi z głowy niestosowne amory, które nietylko są dla niej i dla narzeczonego wielce nieprzyjemne, lecz nadto wystraszają „sztamgastów“ z piwiarni, gdyż niedogodny kochanek przesiaduje całymi dniami w lokalu, gapiąc się na gości, co wpływa na ubytek klienteli i zmniejszoną konsumcyę trunków wszelkiego rodzaju.

Biedny Arnold ukazawszy się na scenie właśnie wtedy, kiedy gniew ojca osiąga po odejściu Lizy swój punkt kulminacyjny, musi wysłuchać olbrzymiego kazania na temat moralności. Trzeba mu przyznać, iż zachowuje się bardzo przyzwoicie, nie kłóci się z ojcem, nie zdradza tajemnicy swego serca, a nawet nie usiłuje ułagodzić gniewu rodzica oświadczeniem, że „gapi się“ na gości zapijających piwo jedynie dla tego, by genialnymi pociągnięciami ołówka utrwalać ich oblicza na papierze. Nie wiele mu to jednakowoż pomaga, gdyż ojciec w ustawicznie stopniującym się wybuchu oburzenia nazywa go wreszcie „złym, wstrętnym do obrzydzenia człowiekiem“. Arnold, zapoznany i znieważony w ten sposób opuszcza pracownię, kierując swe kroki do tej, która zawładnęła jego sercem.

Nawiasem mówiąc, jest to jedyna scena z całej sztuki przypominająca słuchaczom, iż autorem „Michała Kramera“ jest Hauptmann, twórca „Woźnicy Henszla“, głęboki znawca serc ludzkich i mistrz scenicznej techniki. To też cieszyła się ona największem z całej premiery powodzeniem, a oklaski i wywołanie Hauptmanna było tego sukcesu jawnym dowodem.

Trzeci, (mówiąc nawiasem śmiertelnie nudny) akt, rozgrywa się w knajpie. Cały tok akcyi jest przeniesiony za scenę, do pokoju, w którym wesołe grono spija „Sekt“, widzowie muszą się zaś kontentować wcale nie ciekawym dyalogiem pomiędzy siostrą Arnolda, Michaliną, a malarzem Lachmannem, oraz hałasami dochodzącemi z za kulis. Arnold ukazuje się tylko dwa razy: na początku aktu pomaga swojej ubóstwianej zdejmować flaszki z półek, a przy końcu wypada na scenę, umykając przed „gośćmi“ szynkownymi, którzy chcą go obić za wywołanie awantury.

W ostatnim akcie Arnold spoczywa już na katafalku, gdyż zniechęcony przeciwnościami, odebrał sobie życie. Stroskanemu ojcu przypomina się wtedy, iż nikt nie rozumiał dążeń i natury jego syna; nieszczęsny starzec znajduje wszakże dość siły, aby uciąć sobie parę monologów, które wszakże nie mogą nikogo zająć. Wreszcie rozsuwają się firanki w głębi i przy dalekim odgłosie dzwonów (!) oczom widza ukazuje się trup Arnolda spoczywający na marach Liza Bänsch i Michalina z nieodstępnym Lachmannem, wszyscy w grubej żałobie, ustawiają się koło trumny, a stary Kramer prawi tymczasem dłuższe kazanie o majestacie śmierci, trwające aż do zapadnięcia kurtyny.

Przygnębiające wrażenie, jakie ten dramat wywiera na widzach byłoby może łatwiejszem do zniesienia, gdyby skąpa akcya sztuki i osoby działające mogły czemkolwiek przykuć do siebie sympatye nieuprzedzonego spektatora. Niestety tak nie jest. Syn marnotrawny przedstawia się naszym oczom jako wysoce niemiła, do szpiku kości zepsuta figura, której wstrętnego, odpychającego charakteru nic łagodzi, to też patrzymy nań z obrzydzeniem a zgon jego nie wywołuje w nikim nawet iskierki żalu. W obec tego trudno odczuć nagłą rozpacz starego Kramera wybuchającą w ostatnim akcie niepowstrzymanym strumieniem mów pogrzebowych. Widz pyta mimowoli: „czy to podobna, by ten sam ojciec, który poprzednio obdarzał syna najgorszemi epitetami, odsądzając go od czci i wiary, mógł tak nagle zmienić przekonanie?“ W ślad za tem i postać Michała Kramera traci nie mało na wartości moralnej.

Inne osoby mówią bardzo dużo, choć żadna z nich nie ma właściwie nic do powiedzenia, to też tyrady ich przechodzą prawie niepostrzeżenie. Nawet charakterystyka epizodycznych postaci, w której celował autor „Woźnicy Henschla“ zawiodła tym razem całkowicie. Jednem słowem „Michał Kramer“ nie przysporzy sławy znakomitemu skądinąd dramaturgowi i mimo poprzedzającej go reklamy zniknie wkrótce z powierzchni afisza.

Hauptmann zajmował się gorliwie wystawieniem i inscenizacyą swojej sztuki, aż do generalnej próby. Ujrzawszy na niej „Michała Kramera“ z całym aparatem wystawy i charakteryzacyi, usunął się swoim zwyczajem na drugi plan, nie troszcząc się, przynajmniej pozornie, o powodzenie sztuki, a w czasie premiery czytał najspokojniej w jednej z pustych garderób bajki Grimma.

Publiczność szanując spokój autora raz tylko przerwała mu lekturę wywołaniem na proscenium... To powinno wystarczyć do scharakteryzowania przyjęcia, jakiego „Michał Kramer“ doznał na scenie „Deutsches Theater...“ *Z.*

Nasze ryciny.

Wieść o strasznej katastrofie, której ofiarą padł niemiecki okręt „Gneisenau“ obiegła w mgnieniu oka świat cały, budząc wszędzie żal i szczere współczucie dla rodzin, opłakujących nieszczęsne ofiary. Widownią ponurej tragedyi była zatoka malagska, gdzie „Gneisenau“ stał na kotwicy. Najniespodziewaniej w świecie zerwał się straszny wicher, który począł miotać okrętem; kapitan wydał natychmiast rozkaz palenia pod kotłami maszyny, chcąc wydostać się na pełne morze, lecz zanim polecenie jego mogło być wykonane, pęd huraganu zerwał łańcuch kotwiczny i cisnął bezwładnym kolosem na skały. W jednej chwili olbrzymi statek zaczął pogrążać się w falach i zanim zdołano pomyśleć o jakimkolwiek ratunku, woda zalała pokład. O straszliwem zamieszaniu, które zapanowało na okręcie — trudno mieć wyobrażenie. Jedni skakali w morze, szukając wpław ocalenia, drudzy zajmowali co rychlej miejsca w łodziach ratunkowych, inni wreszcie, jak się potem okazało, najszczęśliwsi, drapali się po linach na szczyty rej i masztów. Olbrzymie tłumy ludzi zaległy wybrzeże, przypatrując się z zapartym oddechem straszliwej walce nieszczęśliwych ofiar z rozszalałymi falami. Co chwila głośniejszy krzyk przerażenia zwiastował dalej stojącym, iż znów jedna z łodzi ratunkowych została przewrócona przez olbrzymie bałwany, które pochłaniały coraz to nową ofiarę. Kapitan Berninghaus a z nim 36 ludzi znaleźli zgon w chłodnych przepaściach oceanu; z ocalonych mało kto wyszedł bez szwanku. 36 ciężej rannych walczy po największej części ze śmiercią, 222 lżej poszkodowanych znalazło przytułek i opiekę lekarską w szpitalach i domach prywatnych. Telegram, zwiastujący tę okropną katastrofę, sprawił w całych Niemczech przygnębiające wrażenie, a głos ogółu przypisuje winę nieszczęścia zarządowi marynarki, który dla oszczędności nie każe palić pod kotłami maszyny, jeśli okręt znajduje się w porcie. Tym sposobem na wypadek burzy statek jest zdany na wolę fal i wiatru, a gdy pęknie kotwica, nic go już nie zdoła ocalić od zagłady, gdyż jedynym ratunkiem może być w takich przypadkach wypłynięcie na pełne morze. To też pod kotłem winien być utrzymywany ciągły ogień, aby w razie potrzeby maszyna mogła w kilka minut rozpocząć działanie. W ten sposób oszczędność kilkuset marek, stała się powodem okropnego, grozą przejmującego nieszczęścia.

Ta sama wysepka na której trawił ostatnie lata swego życia Napoleon Bonaparte, służy teraz za więzienie dla jeńców boerskich. Dziwne to musi być uczucie, z którem waleczni obrońcy swego kraju, skazani na bezczynność, oglądają miejsca, wsławione smutnym pobytem „małego kaprala!“ Przemoc angielska wtłoczyła ich zapał w ciasne ramy jednostajnego obozowego życia, broń, wyrządzająca w ich ręku tak okropne spustoszenia pośród ciemięzców, została w Afryce, czujne straże śledzą każde poruszenie więźniów, a jednak niezgnębieni tem wszystkiem, zachowali niezależność umysłu i dumną, wyzywającą postawę. Rzecz naturalna, iż Anglicy niedopuszczają do swych jeńców żadnych wieści z rodzinnego kraju; w obec ostatnich wiadomości z Afryki, gdzie zacięta walka rozgorzała na nowo jasnym płomieniem a szczęście zdaje się sprzyjać zdecydowanym na wszystko Boerom — jest to łatwem do wytłomaczenia.

Gęste zaludnienie pobrzeża rzeki Wepper w Niemczech skutkiem rozwoju przemysłu tkackiego, zmusiło tameczne władze do pomyślenia o odpowiednich środkach komunikacyjnych. Zwłaszcza ruch między dwoma centrami przemysłowemi, Elberfeldem a Barmen, jest tak ożywiony, że dla ułatwienia go musiano zbudować nowy, bardzo oryginalny w pomyśle tramway elektryczny. Jest on dziełem inżyniera Langena. Żelazna konstrukcya umieszczona nad rzeką Wapper służy za podstawę do szyn, po których suną wiszące w powietrzu wozy tramwayowe, krążące w trzyminutowych odstępach z chyżością 40—50 km. na godzinę. Stosowne urządzenie zabezpiecza wozy przed wykolejeniem się na dość licznych krzywiznach, zataczanych przez szyny. Koszta wybudowania tej ważnej arteryi komunikacyjnej, dosięgły 12 milionów marek.

Miejscowość Val de Pompei we Włoszech, posiada cudami słynący obraz Matki Boskiej, do którego codziennie przybywają pielgrzymi, chcący znaleźć u stóp Królowej Niebios ulgę i pocieszenie w moralnych lub fizycznych dolegliwościach. Rycina nasza wyobraża wnętrze świątyni, mieszczącej w swoich murach cudowny wizerunek Madonny; główny ołtarz lśni się od drogocennych wotów, wśród których błyszczy korona spoczywająca na obrazie. Wartość jej obliczają na 400.000 franków! Codziennie pociągi kolei żelaznej wysypują na dworcu miejscowym setki pątników, którzy z gorącą wiarą w sercu podążają w progi świątyni zapełniając ją od rana do późnej niemal nocy. Swoją drogą, krzykliwe i nie dość poważne w nastroju zachowanie się Włochów, mąci nieco uroczysty nastrój cudownego miejsca, lecz na powściągnięcie gorącego temperamentu mieszkańców Południa, trudno znaleźć lekarstwo. To też spokój i uroczyste skupienie, widniejące na twarzach obcych pielgrzymów, którzy przybywają tam nawet z Niemiec i Austryi podwójnie odbijają przy głośnych krzykach i namiętnej mimice miejscowej ludności.

Do wiersza p. Kazimierza Tetmajera p. t.: „Pożar Rzymu“ zamieszczonego w ostatnim numerze naszego pisma zakradł się rażący błąd druku. Wobec tego powtarzamy dzisiaj odnośną zwrotkę, która ma brzmieć jak następuje:

„Tyś przy tem dziele zobaczył Nerona,
Mistrzu dziś czczony! Tobie się otwarła
Zjawa historyi świata niezwalczona:
Że ludzkość wtedy, gdy pozornie marła
Wstawała świeża i młodzieńcza z grobu
Nową epokę wielką iścić globu“.

KRONIKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

TEATR i MUZYKA.

*„Cyrano de Bergerac“ będzie najnowszą operą Puccini'ego. Libretto pisze Globbe, który przetłómaczył dramat Rostand'a na język włoski.

*Otwarcie „Comédie Française“. Do odbudowanego po klęsce pożaru domu Molière'a powrócili nareszcie stowarzyszeni Komedyi Francuskiej. Gmach spalił się w marcu roku 1900, a w płomieniach zginęła wówczas młodziutka artystka, panna Henriot. Spodziewano się zrazu, że nowy teatr zostanie otwarty jeszcze podczas wystawy, lecz nie zdołano go wykończyć. Trupa Komedyi musiała szukać przytułku kolejno w „Odeonie“, w teatrze „Nowym“, w dalekim zazwyczaj od klasycyzmu „Casino de Paris“ i w końcu w teatrze Sary Bernhardt. W dniu 29 grudnia r. z. rozpoczął się w dziejach Komedyi Francuskiej nowy okres, który upamiętniono w „foyer“ teatru i na afiszach, zamieszczając daty 1680—1900. Z roku 1680 datuje się koncesya Teatru Francuskiego, podpisana przez Ludwika XIV. i ministra Colbert'a. Pamiątkowy ten dokument znajdował się podczas pożaru w archiwum, przypuszczano, że zginął, lecz odnaleziono go przypadkiem i dyrektor Claretie przechowywał go w mieszkaniu prywatnem i w dniu otwarcia teatru zawieszono dokument w sali posiedzeń, obok portretu Molière'a. Program przedstawienia inauguracyjnego składał się z prologu, napisanego umyślnie przez Richepina'a, czwartego aktu „Cyda“ Corneille'a, trzeciego aktu „Femmes savantes“ Molière'a, oraz ze sceny promocyi doktorskiej z „Chorego urojenia“ Molière'a, w której występowali wszyscy artyści teatru. Na tem galowem widowisku obecni byli: prezydent Loubet, król belgijski Leopold z córką, księżniczka Klementyna, prezesowie senatu i izby, oraz ambasadorowie. Sala, odświętnie przybrana, przepełniona była doborową publicznością. Nowy ten teatr jest właściwie teatrem starym. Architektowi postanowiono za warunek, aby w sali nic nie zmieniał a on wywiązał się szczęśliwie z powierzonego zadania. Główną uwagę zwrócono na możliwe zabezpieczenie sali i sceny od ognia. Sala ogrzewana jest parą, a oświetlona tylko elektrycznością. Na scenie, zbudowanej z żelaza, urządzono elektryczne aparaty ogrzewające. Wszystkie dekoracye, oraz posadzka drewniana sceny, są przesycone płynami niepalnemi; jest też oczywiście i kurtyna żelazna i wielki aparat, przy którego pomocy scena i skład dekoracyi stają w przeciągu kilku minut pod wodą. W całym gmachu, ani w sali, ani w garderobach artystów, niema draperyi; w korytarzach znajdują się liczne wyjścia i hydranty, bram jest w gmachu dziewięć, a czworo schodów prowadzi do wielkiego przedsionka. Słynny posąg Voltaire'a dłuta rzeźbiarza Houdon'a, uratowany z takim wielkim mozołem, ustawiono na dawnem miejscu, lecz przytwierdzono do cokołu kółka, które w danym razie, ułatwią wyniesienie posągu. Słowem, starano się skorzystać pod każdym względem ze smutnych doświadczeń uczynionych podczas ostatniego pożaru.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.